

Łódź, dnia 20. stycz. 1994r

Kazimierz Zbiciński

© ARCHIWUM WSCHODNIE

W s p o m n i e n i a

II / 2176 / P

I. WYSIEDLENIE

Niespodziewana klęska wrześniowa w 1939r zaskoczyła wszystkich. Wśród miejscowej ludności zapanował strach i niepewność jutra. Dokąd trwały rozmowy dyplomatyczne wydawało się, że jeszcze jest możliwe zmniejszenie histerji wojennej i okiełznanie zapędów państw faszystowskich w ich zaborczych dążeniach. Liczyliśmy również na potęgę i zapewnienia o pomocy naszych sojuszników. Wierzyliśmy, że w razie wybuchu wojny nie będziemy osamotnieni. Rzeczywistość okazała się zupełnie inna. Nie powstrzymały agresji zabiegi i różne ustępstwa polityków. Wybuchła wojna, której najbardziej widocznym przejawem w głębi kraju były sylwetki samolotów z czarnymi krzyżami i odgłosy padających bomb a niejednokrotnie i terkot karabinów maszynowych za uciekającą z bombardowanych miejsc ludnością. Równocześnie z frontu zaczęły napływać coraz bardziej niepokojące wieści. Mimo ogromnego patriotyzmu, bohaterstwa i poświęcenia, polska armia źle uzbrojona, z braku dostatecznej ilości nowoczesnego sprzętu nie mogła sprostać hitlerowskiej nawałnicy. Zastraszeni, z trwogą oczekiwaliśmy zbliżającego się frontu i tego co później nastąpi. A front był coraz bliżej. Świadczyły o tym coraz większe kolumny uciekających na Wschód mieszkańców z terenów zachodnich i towarzyszące im różne wieści budzące grozę i przerażenie. Wreszcie pojedyncze strzały i krótkie serie z broni maszynowej przemykających między zagrodami polskich żołnierzy oznajmiły bliskość wroga. Na zapleczu gospodarstw pojawił się konny patrol niemieckich żołnierzy, którzy z bronią gotową do strzału galopowali wzdłuż drogi rozglądając się wokół. Zrozumieliśmy wówczas, że nadszedł czas okupacji. Po dwóch dniach, kolejnej penetracji naszej wsi dokonał już patrol na motocyklach z udziałem oficerów z formacji "SS". Wnioskowaliśmy wówczas, że poszukują ukrytej broni i polskich żołnierzy.

Tymczasem, gdy nie ucichły jeszcze odgłosy walki na Westerplatte i nie pogasły łuny nad walczącą Warszawą, a już z różnych źródeł zaczęły napływać wieści o aresztowaniach przez gestapo bardziej aktywnych przed wybuchem wojny Polaków.

Między innymi, został aresztowany i osadzony w obozie na Radogoszczu w Łodzi, zaprzyjaźniony z ojcem, proboszcz miejscowe Parafii ks. Leon Leszczyński. Aresztowany także i osadzony w tym obozie został bliski kolega ojca Józef Pudlarz - kowal z Andrzejowa. Niepokój w rodzinie

Niepokój w rodzinie narastał z dnia na dzień z powodu ojca, który przed wybuchem wojny został wyznaczony przez miejscowe władze samorządowe jako łącznik z Urzędem Gminy w GałkóWKu i opiekun społeczny. Tacy ludzie jak ojciec byli niewygodni w owym czasie i stąd obawa przed jego aresztowaniem.

W tej atmosferze upływał czas. Nastąpiła mroźna zima 1939/40r. Po zamknięciu szkoły powszechnej w grudniu 1939 roku, wraz z czworgiem rodzeństwa/siostrą i trzema braćmi/, przebywaliśmy w domu pomagając rodzicom w różnych pracach gospodarczych.

Mieszkaliśmy wówczas w podlódzkiej wsi Bedoń, liczącej około 50 gospodarstw rolnych. Była to wieś typowo polska w przeciwieństwie do innych wsi, gdzie mieszkało i miało swoje gospodarstwa wielu rolników narodowości niemieckiej. Niektórych z nich, moi rodzice znali od dzieciństwa. Z nadejściem okupacji, niemieccy koledzy ojca stawali się coraz bardziej powściągliwi w kontaktach osobistych i niewiele od nich można było uzyskać informacji, choć różne wydarzenia następowały jedno po drugim. Po fali aresztowań i kampanii antyżydowskiej rozpoczęły się wysiedlenia rodzin polskich.

Był rok 1940. Mimo niepewności jutra, wszystkie prace wiosenne w gospodarstwie rodziców zostały wykonane w terminie. Nastrój przygnębienia nieco osłabł i wydawało się, że jeszcze w tym roku nic nam nie grozi.

W pierwszych dniach czerwca, cywilni przedstawiciele władz niemieckich, pod pozorem dostaw produktów żywnościowych dla wojska, dokonali lustracji wsi. Przeglądali bardzo szczegółowo budynki mieszkalne, zabudowania gospodarcze i narzędzia rolnicze oraz wypytywali o całą infrastrukturę upraw. Ojciec przeczuwając coś niedobrego, zwrócił się do kolegi Niemca z sąsiedniej wsi Edmunda Preissa z pytaniem, czy wizyta ta nie ma przypadkiem związku z planowanym wysiedleniem niektórych mieszkańców naszej wsi. Ten jednak uspokoił ojca, że nic takiego w najbliższym czasie nie jest przewidywane, a wysiedleni mają być tylko dwaj Niemcy ze wsi Janówka za złe gospodarowanie. Uspokojony ojciec nie przewidywał, że owi Niemcy, to przyszli właściciele dwóch gospodarstw naszej wsi, to jest moich rodziców i rodziny Józefa Michalaka.

Wysiedlenie nastąpiło w dniu 13 czerwca 1940 roku rano, około godziny 3¹⁵. Po okrzyku ojca "wstawajcie przyjechali nas wysiedlać" nie do końca rozbudzeni, zaczęliśmy się zrywać z łóżek nie wiedząc co na siebie włożyć, jak się ubrać, i wogóle co dalej robić.

Rodzice, ponaglani przez Niemców do opuszczenia domu, także kręcili się po mieszkaniu bezradnie. W wyniku zaskoczenia prawie tak, jak my dzieci potracili głowy. Po piętnastu minutach zostaliśmy wyprowadzeni z domu. Na podwórku, wśród żandarmów stał Niemiec, który przed kilkoma dniami dokonywał lustracji wsi. On to właśnie stał się właścicielem naszego gospodarstwa. Rodzice w ciągu 15 minut utracili całe swoje mienie o wartości około 50.000 zł w walucie przedwojennej. Wyprowadzono nas na ulicę, gdzie stał wóz konny, wcześniej przygotowany, tak zwana podwoda. Stanęliśmy przed tym wozem bezradnie otoczeni przez pokrzykujących żandarmów. Każde z nas trzymało w ręku jakiś pakunek lub zawiniątko z przedmiotami użytku osobistego, zabranymi pośpiesznie i w większości nie najlepszymi. Po załadowaniu nas na wspomnianą podwodę, w towarzystwie nieodłącznych żandarmów, ruszyliśmy w kierunku północno - wschodnim. Za nami w oddali podążał drugi wóz konny z rodziną Michalaków. Tak dojechaliśmy do Brzezin, dawnego miasta powiatowego. W Brzezinach na rynku, gdzie kazano nam zejść z wozów, było już kilka innych rodzin wysiedlonych z okolicznych wsi. Przez pewien czas przywożono coraz więcej ludzi. Po zgromadzeniu określonej grupy, załadowano wszystkich do stojących na poboczu samochodów ciężarowych i cała kolumna ruszyła w kierunku Łodzi. Tutaj, prawdopodobnie na ulicy Kopernika, poddano nas kwarantannie w łaźni i w tym samym dniu przewieziono do obozu na ul. Łąkowej Nr 4.

Obóz na ulicy Łąkowej mieścił się w budynku po dawnej fabryce. Był to obiekt zwarty, wielopiętrowy, z kilkoma klatkami schodowymi. Na zapleczu budynku głównego, umieszczone były różnego rodzaju parterowe pomieszczenia gospodarcze. Z frontu budynku przy bramie wjazdowej była wartownia, a wzdłuż ulicy Łąkowej parkan z siatki drucianej. Z wyjątkiem tej siatki, cały obóz otoczony był budynkami sąsiednich posesji z tak zwanymi ślepyimi ścianami i częściowo wysokim murem, zakończonym drutem kolczastym. Teren obozu w dzień i w nocy patrolowali uzbrojeni w karabiny, w hełmach na głowach wartownicy. Od strony ulicy, za siatką wędrowało ich dwóch wzdłuż ogrodzenia, do którego od wewnątrz nie wolno było się zbliżać więcej niż 10 metrów.

Prawe skrzydło budynku głównego przeznaczone było do umieszczania w nim wysiedlonych rodzin z cechami nordycznymi, typowanych do zniemczenia. Pozostała część tego budynku to sale do okresowego przetrzymywania wysiedlonych, w tym tak zwany "czyściec", w którym wszystkim wysiedlonym odbierano resztę pieniędzy i kosztowności oraz inne różne pomieszczenia do czynności związanych z badaniami pod względem rasy osobników.